

Alfred Łaszowski

Panowie muszą odejść!...

(Przemówienie na walnym zebraniu PEN KLUBU)

(R e t u s z)

„Przysięgając do oceny kongresu paryskiego, nie mogę pominąć roli, jaką odegrał tam Antoni Słonimski. Dla uniknięcia nieporozumień, chciałbym zapytać odrazu, czy Zarząd zaznajomił się z referatem autora „Wieży Babel” przed jego ogłoszeniem, i w jakim stopniu można go obciążyć odpowiedzialnością za poziom owej dysertacji?”

Nie chodzi tu nawet o merytoryczną słuszność poglądów Słonimskiego, lecz o sposób ich ujęcia i opracowania. Przemawiając w gronie literatów, nie potrzebuje chyba udowadniać, że każda teza nabiera siły i znaczenia w zależności od tego, jakimi środkami rozporządza autor.

Na operowanie banałem, może sobie pozwolić pisarz, dla którego rzeczy ogólnie wiadome i znane, stanowią jedynie punkt wyjścia dla głębokich i świetnych rozważań. Niestety, w danym wypadku mamy do czynienia ze stekiem komunałów na poziomie szkółki niedzielnej. Piętnuję tu klasyczny objaw grafomanii intelektualnej. Referat Słonimskiego opublikowany w formie „Kroniki tygodniowej”, spotkał się z jednogłośnie potępieniem nawet w obozie jego współwyznawców, na co każdej chwili mogę przytoczyć dowody konkretne.

Jules Romain'sa trudno chyba posądzać o sympatię dla państw totalnych, a jednak właśnie on w słowach pełnych ironii, sarkazmu i lekceważenia, zbagatelizował elukubrację Słonimskiego, unicestwił ją, sprowadził do granic, jakie w tej chwili wyznaczyłem. To nie była jedynie prywatna klęska autora „Walk nad Bzdurą”, to był dotkliwy wstyd, skandal i upokorzenie dla nas wszystkich. Na przyszłość musimy podobnych kompromitacji uniknąć. Żądam, aby referaty członków delegacji podlegały ocenie i krytyce, zwłaszcza, gdy zachodzi uzasadniona troska o ich poziom intelektualny.

Proszę panów! Ktoś może stanąć na stanowisku, że jeśli ma do czynienia z geniuszem, nie potrzebuje stosować do niego zwykłych miar i wzorów. Wiadomo jednak, że Słonimski drugorzędny komediopisarz i lichego poeta, nie jest po stacją poważną, ani zbyt cenioną w sferach artystycznych. Żyje z pisania kronik, w których można dopatrzyć się wszystkiego, z wyjątkiem walorów intelektualnych. Słonimski nie ukończył szkół śred-

nich ani wyższych. Referat tego samouka należało przeczytać i zakwalifikować. Niedbalstwa się mszczą. Na to szkoda pieniędzy państwowych. Może jestem zbyt okrutny, albo bezlitosny, może rzucam oskarżenia, których p. Słonimski by się wstydił? W takim razie służę analogią i przypomnę państwu, że autor „Rodziny” ze szczególnym upodobaniem demaskował „zagraniczne wpadki” kolegów po piórze. Wystarczy zacytować kilka słów, skierowanych pod adresem Miriamy z okazji nieszczęsnego odczytu w Paryżu. A przecież ówczesny skandal był bladością w zestawieniu z tym, co przeżyliśmy ostatnio w stolicy francuskiej.

Przechodzę do sprawy, do Steinberga. W sprostowaniu, jakie nadesłał, czytamy wyraźnie: „W tę nieszczęśliwą godzinę, kiedy Polska wprowadzi prawa wyjątkowe, dla żydów, jako kraj wolny przestanie istnieć”. Cóż to tłumaczy, co wyjaśnia?

Nic! W zdaniu przytoczonym dosłownie, znajduję całkowite potwierdzenie moich „raportów sprawozdawczych”. Przy sposobności muszę zwrócić uwagę na okoliczność bardzo ważną.

Proszę sobie przypomnieć przemówienie Steinberga dokładnie. W grę wchodzi moment optyczny, nie tylko słowa, ale ruch i gest, ekspresja, rysy twarzy. Proszę pań, tak nie mówi człowiek błagający o litość dla swoich współwyznawców w Polsce. Odczułem w jego słowach zaciętość i furję tak wielką, że ani na chwilę nie mogłem przypuścić, by człowiek ten potrafił ograniczyć się jedynie do protestów. To groźba była jego intencją! Fanatyczny żyd wybuchł gniewem, karcił nas, gromił, pouczał. Chodziło mu o prowokację na terenie międzynarodowym. Tu maczyć się, usprawiedliwiać przed kim? Do dziś wstyd oblewa mi twarz, gdy o tym pomyślę. Steinberg, były komisarz sowiecki, figura z pod ciemnej gwiazdy, nagle ni stąd ni zowąd w tożde proroka humanitaryzmu. Prokurator, kolega, towarzysze. Napewno nikogo nie zabili święty pański w obronie uciśnionych, symbol, psia krew, statua!

Gdy mówił, patrzyłem w pańską twarz, Panie prezesie. Nie było na niej śladu oburzenia, raczej zakłopotanie, beznamiętność i dezorientacja. Grymas limfatyczny!

Sytuacja, która przyprawiła mnie o wstrząs psychiczny, dla Pana była prosto niewygodnym incydentem. W tym właśnie wyraża się różnica mentalności, jakie reprezentujemy.

Dla nas patriotyzm jest metodą reakcji bezpośredniej dla osób hołdujących demoliberalnemu kosmopolityzmowi, uchodzi za formalność, lub ciężki obowiązek. Kiedy wybuchł incydent ze Steinbergiem, zażądałem od Pana wypowiedzi stanowczej i zdecydowanej. Zamiast się przed nim usprawiedliwiać, należało wnieść kategoryczny protest przeciwko pogroźkom i wtrącaniu się obcych czynników w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Dumę i godność narodową zastąpiłymi przez kompleks wazelin. Dyplomacja stała się synonimem pseudowytwornego mazgajstwa. Nie zapominajmy, że przysłył kongres będzie zorganizowany w Pradze. Praga, to bastion folkfrontu i całej masonerii słowiańskiej. Tak jest, proszę się w tym miejscu nie uśmiechać, wszyscy doskonale wiemy, że nie chodzi tu o jakieś opretkowe akcesoria w rodzaju fartuszków i kielni, ale o międzynarodową zmożność żydostwa światowego. PEN KLUB uchodzi za narzędzie łoża Wielkiego Wschodu. Panowie wiecie o tym lepiej ode mnie. Nie będziemy się nawzajem okłamywać.

Słonimski: — To dlaczego Pan

— Bo muszę zreformować tę organizację. Do Pragi nie może pojechać człowiek słaby, zaplątany w sieci kompromisów międzynarodowych. Centrala PEN KLUBU znajduje się poza granicami państwa. Mam do czynienia z agenturą obcą. Obowiązuje nas czujność, idąca jak najdalej. Paryż wzmógł atmosferę podejrzeń. Paryż ją umotywował. Na tym terenie potrzeba dziś żołnierzy, a nie dyplomatów, sumitujących się przed Steinbergami. W grę musi wejść inny kaliber człowieka. Ani p. Parandowski, ani p. Słonimski się tu nie nadają. Powinni byli już dawno ustąpić. Ta sala nie jest zamkniętym atomem. Poza jej mrami decydować będzie opinia publiczna.

Przewodniczący: — Czy pan zgłasza wniosek?

— Oczywiście! Oto jego brzmienie: Żyd nie może reprezentować Polski na międzynarodowych kongresach PEN KLUBU!

Podnosi się las rąk. Gromadny sprzeciw. Wobec tego kończę oświadczeniem: Mogę Państwa zapewnić w imieniu młodzieży narodowo-radykalnej, że wybór Słonimskiego, Breitera i Parandowskiego jest demonstracją, pozbawioną konsekwencji realnych. Pod żadnym pozorem nie możemy dopuścić do tego, aby występowali w imieniu kultury polskiej zagranicą!

Nowa zupa Knorr o nazwie „Krakowska” zadowoli najwybredniejsze podniebienie. Jest to zupa z dodatkiem ryżu, jarzynki i pomidorów.

PRAWDZIWA NIESPODZIANKA DLA SMAKOSZÓW



Dobry przykład Coś dla pań z propagandy

W ostatnim numerze „Der Oberschlesischer Kurier” znajdujemy ciekawą wiadomość o wielkim konkursie literackim, urządzonym przez „Deutsches Kulturbund” dla obywateli niemieckich, wchodzących w skład mniejszości niemieckiej w Polsce. Do udziału w konkursie dopuszczono wszelkie formy literackie, jak: powieść, wiersz, dramat, nowelę i inne.

W związku z tą inicjatywą nie-

mieckich kół kulturalnych w Polsce, warto zwrócić uwagę, że podobne konkursy byłyby bardzo pożądane i w licznych ośrodkach polskiej emigracji na obczyźnie, zwłaszcza we Francji, Stanach Zjednoczonych, Brazylii i Argentynie. W ten sposób bowiem można z pewnością wydobyc z ukrycia i otoczyć opieką niedocenzonego talentu literackiego, nie znajdując dotąd odpowiedniego pola dla działalności artystycznej.

Fotografia za 1.500 dolarów



Na wystawie fotograficznej 100 amerykańskich dzienników, reprezentowanych przez 500.000 fotografii nagrodę 1500 dol. otrzymał powyższy obrazek.

Leon Fomin i Wiga Walker Wystawa w salonie Czesława Garlińskiego

Bardzo dziwne, choć dobre zestawienie zrobił p. Czesław Garliński w swoim salonie. Z jednej strony dał wystawę młodego malarza-debiutanta, jeżeli chodzi o publiczne ekspozycje — Leona Fomina. Z drugiej cyklu obrazów p. Wigi Walker, która nie jest jeszcze znana publiczności, ale która w porównaniu z Fominem nie ma bezpośredniości i szczerości w patrzeniu na naturę. Odrzuca jest widoczne, że p. Wiga Walker malując operuje gotowymi już formułkami, i to wygląda naprawdę pretensjonalnie.

Jeżeli jeszcze dodamy do tego wstęp do katalogu, napisany przez jednego z żydowskich krytyków warszawskich, który omawia „Malarstwo Wigi Walker” na tle całej obecnej epoki i na tle rozwoju malarstwa w ogóle, otrzymamy cały charakter tej wystawy.

Publiczność reaguje na obrazy Wigi Walker w taki sposób, jak można było się tego z góry spodziewać. Przeszedłszy pierwszą salę bez zwrócenia specjalnej uwagi na którąkolwiek z prac, z zainteresowaniem ogląda dopiero akwarele Leona Fomina.

Leon Fomin — z wykształcenia nie malarz, a architekt, pokazał dwadzieścia cztery obrazy akwarelowe z zakresu architektury. Jest to w znacznej części płon ostatniego okresu wakacyjnego, bo jest tylko kilka obrazów datowanych z roku 1936.

Fomin w swoich obrazach studiuję bryłę architektury główny nacisk kładąc na wydobycie monumentu i tej specjalnej atmosfery jaką architektura narzuca.

Może w pracach Leona Fomina jest wiele niedociągnięć formalnych i kolorystycznych i może przydałoby się żeby Fomin przepracował gruntownie zagadnienia techniczne, jakie się

w związku z akwarelami nasuwają. Ale nie to u niego dominuje. I jeżeli oglądając obrazy publiczności wynosi na ogół z wystawy dobre wrażenie, to dlatego, że u Fomina widać rzeczywistość wiele możliwości i że jedną z jego cech jest zupełnie samodzielny sposób wypowiadania się.

Fomin nie jest błyskotliwy ani powierzchowny. Powiedziałbym nawet, że zbyt wiele uwagi zwraca na ścisłość zanotowania swoich wrażeń. Nie zawsze potrafi pokazać bryłę w przestrzeni z wybitnym pierwiastkiem inżyniersko-architektonicznym. W Fominie łamie się podejście malarzskie z konstruktywizmem.

Ale to są rzeczy, które wraz z nabieraniem doświadczenia zanikają i które Fominowi w jego malarstwie z pewnością nie będą przeszkadzały. Bo Fomin dobrze, choć może jeszcze nieco brutalnie reaguje na kolor. I to również ulegnie stonowaniu i wygładzeniu.

Jerzy Stokowski.

Nadesłano do redakcji

ANDRZEJ STRUG — „MILIARDY”

Nakładem Gebethnera i Wolffa. Najwyższa klasa pisarska, do której należy twórczość literka Andrzeja Struga, nie zważa na zasięg jego popularności do kół wajemniczych, zasklepionych w formalnym estetyzmie. To też pojawienie się na półkach księgarskich jego „Miliardów” jest ewenementem w najszerzych kręgach czytelnictwa.

„Miliardy”, nawiązujące do „Pieniądza”, sięgają dna spraw, decydujących dla naszej rzeczywistości. Andrzej Strug w „Miliardach” daje wizję Ameryki czasów kryzysu, zmagania wielkiego kapitału o władzę, wizję jego podziemnych nurtów, jego zbrodni i śmiertelnej choroby. W krzyżujących się losach milionera i bandytów, artystów i apostołów, w rozdygotanej gorączce ich dnia, wyczuwa się pulsację świata. Poprzez urozmaicone przygody jednostek dostrzegamy mechanikę fatalnych sił, które jednostkami władają.

Unarodowienie handlu

Cztery najważniejsze referaty ogłoszone na Ogólnopolskim Kongresie Kulciwa Chrześcijańskiego w Stolicy zawiera numer Kongresowy Tygod-

nik Handlowego. Do nabycia w administracji, Warszawa, Zielna 50, w godz. 9 — 3. Cena 1 zł.

DZIŚ XXV SREBRNY JUBILEUSZ

CZWARTEK HUMORU z udziałem ASÓW SCENY I EKRANU

WINIARNIA „CAVEAU

ZIEMIANSKA „CAUCASIE” JASNA 5

JERZY MARIUSZ TAYLOR

9)

CZCICIELE WOTANA

POWIEŚĆ

Ale ostatecznie wszystko to były fraszki. Stary słuchał cierpliwie skarg i płacił odszkodowania. Mleczarce za wylane mleko i sklepikarce za połuczone szyby. Głupiego Ruprechta też do służby przyjął dlatego, żeby jego matka siedziała cicho. Łagodził, płacił i synów łajał, ale po ojcowsku. Nie zanadto. W głębi duszy rad był z tych wybryków. Wiedział przecież, że to tylko burzy się gorąca krew Erninów. A, niech się burzy, niech szumi. Teraz był po temu czas najwłaściwszy, póki wojsko nie nalożyło jeszcze tym gorącym żrebowi żelaznych wędzideł.

Stary wzdychał zresztą do tej chwili. Zacierał ręce myśląc, jak pięknie będzie wyglądał jego pierworodny w mundurze ułańskim. Koniecznie w ułańskim. Erninowie byli zbyt dobrą rodziną, aby mieli się pospolicować gdzieś w piechocie czy w artylerii. Za Rosjan służyli w gwardii, w huzarach. A teraz były czasy polskie i chłopak z dobrej rodziny musiał iść do ułanów.

Alfred też miał iść do ułanów, aby po odświeżeniu wojskowej oddać się młynarstwu, jak jego starszy brat Wilhelm. Ernin dawno już postanowił, że dwaj starsi chłopcy będą młynarzami. Wilhelm miał objąć w spadku po nim ten sam młyn, który wykarmił całe pokolenie, a dla Alfreda szykował się już nowy, też w dobrej okolicy. Po drugiej stronie Wisły, ale nieco wyżej, prawie naprzeciwko Góry Kalwarii, osiedliło się różnymi czasami sporo wychodźców z kolonii Na Grobli, zakładającą nową kolonię, którą nazwano nieco może za szumnie — Dreznem. W Dreźnie była mała rzeczulka, taki sobie strumyk niepozorny. Stary młynarz, kiedy nama-

wiano go do nabycia jakiegoś kawałka ziemi w nowej kolonii, gdzie było jeszcze trochę wolnego gruntu, a nikogo obcego wpuścić tam nie chcieli, od razu upodobał sobie tę rzeczulkę. Raili mu wprawdzie coś innego, ale on kupił to właśnie, co wybrał — bagnisty nieużytek, szmat porośniętego siłowiem wybrzeża, tworzącego jakby półwysp w miejscu, gdzie nurt strumienia był najbystrzejszy. Tam miały z czasem turkotać koła nowego młyna, przeznaczonego dla Alfreda.

Przeznaczając dwu starszych synów do działalności w tradycyjnym fachu, dla najmłodszego planował stary młynarz rolę wręcz odmienną. Otto miał pójść do stanu duchownego i ambicją ojca było, aby ten beniaminek zajął kiedyś stanowisko pastora w rodzimym kolonii. Zauważył bowiem dawno, że chłopak zdradza powołanie w tym kierunku. Ładnie mówił. Jak zaczął czasem, to mu tak szło składnie, że ludzie dorosli zapominali o wszystkim i słuchali. Inna rzecz, że nie bardzo można było wyrozumieć, o co mu chodzi. Nie gadał jeszcze tak, jak stary pastor. No, ale z czasem mógł przecież nabrać praktyki i prawie kazania jeszcze lepsze niż tamten. Zresztą tak postanowił stary młynarz i tak już być musiało. Białowłosey jak wszyscy bracia i pyzaty chłopak za kilka czy kilkanaście lat miał przywdziać czarną togę i biret pastorski, aby sprawować rządy dusz w kolonii Na Grobli.

Stary Ernin przez całe życie z całą konsekwencją zmierzał do wykonania swego ambitnego planu, którego celem było, jak widzimy, nie tylko utrzymanie rodu na dawnej pozycji, ale i okrycie go nowym splendorem. Plan był pomyślany pięknie, ale cóż? Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Stary Ernin, jak wielu innych, miał doświadczyć na sobie prawdziwości tego mądrego przysłowia.

Zrozumiał to dziś właśnie i przyszło to nań nagle, jak straszne objawienie. Kiedy skończył obiad, wstał uroczysto, biorąc jak zwykle biblię — gruby tom, oprawiony w szczyrniętą od starości skórę, aby przeczytać jakiś stosowny werset. Przerzucając szczywnymi palcami załuszczone karty zauważył, że dwaj starsi synowie wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Udał, że tego nie widzi.

Miał wyrozumiałość dla ich młodości. Nie lubił kępować ich nadmiernie. Ale to, co się stało w następnej chwili, przechodziło już wszelkie granice.

Wilhelm odezwał się, co już samo przez się było ciężkim wykroczeniem. Naruszył przecież powagę chwili, w której miały zabrzmieć odwieczne słowa Starego Testamentu. Ale jak mówił przy tym! Wsadził ręce w kieszenie, rozwałił się non-szalancko w krzesła i jeszcze uśmiechał się szyderczo.

— Mógłby tatko zaniechać nareszcie tego przestarzałego zwyczaju czytania nam biblii po każdym posiłku — powiedział.

— No, pewnie! Najwyższy czas! Jaki dobry Niemiec czyta dziś Stary Testament — te żydowskie łgarstwa? — podchwycił Alfred.

Stary aż usiadł z wrażenia, spoglądając to na jednego, to na drugiego syna sponad oprawnych w żelazo, staroświeckich okularów.

— Co? Co wy mówicie? — wyjąkał. — Coś ty powiedział, Alfred? Łgarstwa? To niesłychane! Jak ty śmiesz odzywać się w taki sposób o świętej księdze, którą z należnym nabożeństwem czytali wszyscy twoi przodkowie? Jak... śmiesz? Jak... jak... wy... wy... nie wstydzicie się młodszego rodzeństwa?

Zachłystując się z oburzenia, stuknął kością pięścią w stół, patrząc beznadziejnie na pozostałych dwoje dzieci. Ale i tamci zawiedli jego nadzieje. Gruba jak kluska Hilda siedziała ze spuszczoną głową, patrząc tępo w talerz, a Otto przypatrywał się pilnie musze, która, przezimowawszy po myślnie w ciepłym mieszkaniu, sfrunęła tylko co z sufitu na stół i łaziła ociężale po obrusie.

— Ty, Otto! — wykrztusił stary młynarz. — I ty, Hilda! Czyście słyszeli, co tu prawią wasi bracia? Łgarstwa — powtarzał w zdumieniu. — Żydowskie łgarstwa! To straszne! To okropne! To przecież istne bluźnierstwo.

— Ale bo tatko doprawdy irytuje się niepotrzebnie — szepnęła wreszcie tłusta Hilda, nie podnosząc oczu znad talerza.

(D. c. n.).